

**Prawo karne gospodarcze.
Księga jubileuszowa profesora
Zbigniewa Ćwiąkalskiego**

Piotr Kardas
Mikołaj Małecki
Włodzimierz Wróbel
redakcja

Kraków 2023

Profesor Zbigniew Ćwiąkalski w rozmowie z profesorem Andrzejem Zollem, profesorem Włodzimierzem Wróblem i profesorem Piotrem Kardasem, przeprowadzonej w Krakowie, listopad–grudzień 2022 r.

Włodzimierz Wróbel: Jak to się stało, że wybrałeś studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego?

Zbigniew Ćwiąkalski: To już było wiadome od dzieciństwa, że będę studiował prawo, dlatego że mój ojciec studiował prawo we Lwowie na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Wiąże się z tym ciekawa historia, ponieważ jego wykładowcą był profesor K. Przybyłowski (prawo cywilne) i w indeksie ojca, który zresztą mam do dzisiaj, jest wpis Profesora. Profesor K. Przybyłowski miał ostatni przed emeryturą wykład dla mojego rocznika i ja też mam jego wpis w indeksie. Ojciec przed wojną był sędzią śledczym, dlatego ta instytucja zawsze jakoś była mi bliska. Ojciec dużo opowiadał o pracy. Nawet w dzieciństwie, gdy byłem w szkole podstawowej, będąc wówczas radcą prawnym, przynosił akta do domu i przygotowywał pisma procesowe. Mimo że były to pisma cywilne, przeglądałem je z zainteresowaniem. Nigdy nie było pytania o to, co będę studiował, bo wiadome było, że będę studiował prawo. Cała moja rodzina jest prawnicza: syn jest prawnikiem, córka jest prawnikiem, synowa jest prawnikiem, zięć jest prawnikiem. Tylko moja żona mówi, że jest normalna, bo jest socjologiem. Jeszcze mój brat jest chemikiem po Politechnice Krakowskiej.

Włodzimierz Wróbel: W Twoim domu rodzinnym w Łańcucie też pewnie pojawiali się znajomi ojca. Czy pamiętasz prawników z tamtego czasu?

Zbigniew Ćwiąkalski: Łańcut był trochę przypadkowym miejscem, gdzie znalazł się mój ojciec. Urodził się w Buczaczu, a gdy tereny te zajęli Sowieci w 1944 r., nasza rodzina uciekła z Buczacza, inaczej byłaby zapewne wywieziona na Syberię. Wtedy z zajętych przez Sowieców wschodnich ziem polskich wszyscy uciekali na odzyskane tereny na zachodzie. Moja rodzina opuszczała Buczacz z zamiarem przeniesienia się do Wrocławia, gdzie mój ojciec miał być adwokatem. Nieco przypadkowo zatrzymał się już w Łańcucie. Tam poznał moją mamę, która miała prawie 20 lat. Uczucie przesądziło, że pozostał na Podkarpaciu. Mieszkaliśmy w mieszkaniu kwaterunkowym. Ojciec pracował społecznie w PTTK, był nawet chyba sekretarzem zarządu oddziału w Łańcucie i tam przyjaźnił się z dwoma najbardziej znanymi adwokatami w Łańcucie: M. Bojdeckim i Rogożem. Nawiasem mówiąc, adwokat Miłośław Bojdecki działał w AK. W związku z tym był po wojnie aresztowany. Chyba kilka lat przebywał w więzieniu i oczywiście ojciec się w tym środowisku prawniczym obracał. Jeżeli chodzi o sąd, to muszę powiedzieć, że te kontakty nie były aż tak bliskie, dlatego że prezesem, z tego co pamiętam, był człowiek po tzw. szkole Duracza. Nie miał wykształcenia prawniczego, tylko taki powiedzmy kurs przygotowawczy i z nim ojciec nigdy się nie przyjaźnił.

Włodzimierz Wróbel: W którym roku zacząłeś studia?

Zbigniew Ćwiąkalski: Studia zaczynałem bezpośrednio po liceum, które kończyłem w Łańcucie. Nawiasem mówiąc, chodziłem do przedszkola do siostr zakonnych, potem siostr zakonnych odebrano przedszkole, więc już kończyłem, że tak powiem, przedszkole państwowe. Potem szkoła podstawowa, jedna z kilku, ale to była akurat szkoła podstawowa nr 1 i liceum ogólnokształcące imienia Adama Mickiewicza, które skończyłem w 1968 r. Wtedy zacząłem studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zresztą pamiętam, że wprowadzono wówczas punkty za pochodzenie robotnicze albo chłopskie. Ja tych punktów nie miałem. Na mój rok przyjęto 355 osób, z tym że limit wynosił 300, a 55 osób przyjęto dodatkowo spośród tych, którzy najlepiej zdali egzamin wstępny, wówczas stanowiący podstawowe kryterium przyjęcia na studia prawnicze, ale nie znaleźli się jednak w grupie przyjmowanych na studia w ramach

pierwotnie wyznaczonego limitu. I ja się zmieściłem właśnie w tej puli dodatkowej. Zdawałem historię, geografę, język rosyjski i zaskoczeniem dla mnie było pytanie z geografii: o coś, czego nie miałem w liceum i nigdy z tym się nie spotkałem. Wiedziałem tylko tyle, co przeczytałem w gazetach. Pytanie było o status prawny Berlina Zachodniego i tego nie obejmował materiał szkolny. Powiedziałem to, co wiedziałem, że tak powiem, z wiedzy ogólnej.

Andrzej Zoll: Ja pierwszy kontakt z Profesorem Ćwiąkalskim miałem na ćwiczeniach z logiki, bo wszyscy asystenci Profesora W. Woltera musieli, obok prawa karnego, prowadzić zajęcia z logiki. I na te ćwiczenia w jednej z grup przyszedł Zbigniew Ćwiąkalski.

Włodzimierz Wróbel: To były duże grupy?

Andrzej Zoll: Około trzydziestu osób. Ja pamiętam, że miałem chyba pięć grup po dwie godziny, więc w tygodniu to było dziesięć godzin ćwiczeń z logiki. W sytuacji, gdy przygotowywałem habilitację, trochę te ćwiczenia przeszkadzały. Ale nie pamiętam Zbyszka z tego okresu. W 1967 r. profesor Wolter przeszedł na emeryturę, ale wykładał jeszcze potem logikę. Kierownikiem Katedry Prawa Karnego UJ został wówczas profesor K. Buchała i on zatrudnił Zbyszka. My jako pracownicy siedzieliśmy razem w jednym pokoju i przyszedł do nas ten młody, jeszcze taki nieopierzony asystent. W tym pokoju też miała swoje biurko dr Janina Kostarczyk-Gryszkowska i chyba dr Zofia Radzikowska. Wtedy inaczej były pokoje urządzone, bo koło dzisiejszego sekretariatu Katedry Prawa Karnego był pokój połączony z dzisiejszym pokojem nr 123. To był jeden duży pokój i tam była też biblioteka. My byliśmy na parterze, a Katedra miała swoją własną bibliotekę. Była wprawdzie też biblioteka wydziałowa, ale związana bardziej z prawem cywilnym. Były w tym pokoju też miejsca dla asystentów i adiunktów nie tylko z naszej Katedry, ale też od profesora M. Cieślaka, czyli pracowników Katedry Prawa Karnego Procesowego. Warunki lokalowe były ciężkie. Ale mieliśmy jako asystenci komfortową sytuację, bo Profesor W. Wolter przychodził codziennie do Katedry. Był od dziewiątej rano do godziny pierwszej, a po godzinie pierwszej szedł na obiad do restauracji Kapusty. Czyli cały czas był w Katedrze, właściwie tylko z wyjątkiem godzin, w których miał wykłady. W tym czasie był do naszej dyspozycji. Można było do niego w każdej chwili przyjść, wejść i porozmawiać. I czasem kilka osób naraz z nim rozmawiało. W trakcie tych rozmów poznawaliśmy historię Wydziału

Prawa i Administracji UJ, historii prawa. Mieliśmy nieocenioną możliwość wysłuchiwania opowieści o profesorze E. Krzymuskim, który był przecież Mistrzem profesora W. Woltera. Profesor Z. Ćwiąkałski już tego nie może pamiętać.

Włodzimierz Wróbel: Nie przychodził już do Katedry codziennie...

Zbigniew Ćwiąkałski: Nie, nie! Do Katedry się przychodziło codziennie, ale profesor Wolter był już wtedy na emeryturze, a Katedrą kierował prof. Buchała!

Włodzimierz Wróbel: A jak to się stało, że w ogóle wybrałaś prawo karne? Bo prawo to rozumiem, że z tradycji rodzinnych. Ale dlaczego prawo karne?

Zbigniew Ćwiąkałski: Mnie interesowały dwie rzeczy: medycyna i prawo karne. Gdybym studiował jeszcze jakiś drugi kierunek, to na pewno byłyby to medycyna. Do dzisiaj mnie pasjonuje. Natomiast zacząłem studiować prawo, zajęcia były obligatoryjne i sztywne grupy, do których dziekanat z góry przydzielał alfabetycznie. W połowie studiów wybrano mnie na starostę roku. Na moim roku było chyba dwanaście grup. Ja byłem w grupie drugiej. Wedle obowiązujących wówczas zasad zajęcia odbywały się w stałych grupach. Zatem w tym samym gronie studentów uczestniczyliśmy w zajęciach obligatoryjnych, jak i we wszystkich innych. Grupy były stałe przez cały tok studiów, od pierwszego do ostatniego roku. Egzaminy były sztywno wyznaczone w określonych terminach. Nie można było nie przyjść, bo to oznaczało ocenę niedostateczną. Na zajęciach pytano i stawiano oceny. Na przykład docent S. Płaza pytał na każdych zajęciach i stawiał punkty od 0 do 9. Trzeba było dostać co najmniej 3 punkty. Jeżeli ktoś nie zaliczył, był pytany na kolejnych zajęciach z tego tematu i dopiero na podstawie średniej wystawiano ostateczne oceny. Prawo karne było jedną ze specjalizacji od trzeciego roku. Była specjalizacja karna, cywilna, administracyjna... Ja wybrałem prawo karne. Lubiłem z ojcem chodzić na rozprawy. Zacztywałem się w gazetach, dlatego że mój ojciec regularnie prenumerował gazety i do Łańcuta specjalnie dla niego sprowadzano jeden egzemplarz krakowskiego „Dziennika Polskiego” i „Nowiny Rzeszowskie”. Gazety dostarczał listonosz. Zacztywałem się we wszystkich kronikach kryminalnych. To mnie pasjonowało. Byłem pożeraczem książek. Ale wtedy nie było tak, że można było w księgarni kupić każdą książkę. To były czasy totalnego deficytu, także książki trzeba było załatwiać.

Czyli trzeba było mieć znajomą panią w księgarni i ewentualnie zapisać się. Był taki Klub Siedmiu Przygód i można było niejako te książki zaprenumerować. Ukazywały co jakiś czas i wtedy przychodziły dla prenumeratorów. Czytałem wszystko, ale najbardziej pasjonowały mnie historie dotyczące brutalnych zabójstw, napadów na banki. Był taki słynny napad stulecia na bank przy ul. Jasnej w Warszawie czy historia Karola Kota w Krakowie. Z tej fascynacji wzięła się specjalizacja karna. Niezwykle mi zależało, żeby się na nią dostać, bo liczba miejsc była ograniczona. Sporo kolegów, którzy później zrobili karierę w polityce, było na moim roku. W grupie miałem Kazimierza Barczyka, Andrzeja Domalika, który później był reżyserem filmowym. Ze mną na roku studiowali m.in. Zbigniew Wassermann – prokurator, a później minister od służb specjalnych, Ryszard Czarny, późniejszy minister, senator, ambasador w Szwecji, Jerzy Jaskiernia, minister sprawiedliwości i poseł, Stanisław Rydzoń, poseł. Oczywiście profesor K. Buchała bardzo dbał o to, żebyśmy ukończyli aplikacje przygotowujące do praktycznej strony działalności prawniczej, więc wszyscy mieliśmy – także pan profesor A. Zoll – odbyłą aplikację sędziowską i zdane egzaminy sędziowskie. Na aplikacji byłem razem z obecnymi profesorami Tomaszem Gizbert-Studnickim i z Krzysztofem Pałeckim. Zresztą sporo zabawnych historii z tego okresu się wiąże z naszą aplikacją. Ciekawe było to, że ci, którzy najslabiej zdali egzamin sędziowski, byli kierowani do notariatu lub do pełnienia funkcji kuratora. Zostawali notariuszami, ale wtedy były jeszcze Państwowe Biura Notarialne. A potem oni chyba byli wdzięczni tym, którzy ich tam skierowali, po uwolnieniu notariatu w latach 90.

Włodzimierz Wróbel: Byłeś uczestnikiem seminarium profesora K. Buchały, tak?

Zbigniew Ćwiąkalski: Nie, nie. Ja byłem seminarzystą profesora T. Hanauska. Pisałem pracę z kryminalistyki.

Włodzimierz Wróbel: A pamiętasz temat?

Zbigniew Ćwiąkalski: Przepiękna sprawa na tle seksualnym. Wtedy głośna była sprawa Marchwickiego, słynnego wampira śląskiego i między innymi profesor T. Hanausek był jednym z ekspertów w tym postępowaniu. Przez lata całe nie potrafiono wykryć sprawcy. W końcu śledztwo nabrało, że tak powiem, szczególnego wigoru, kiedy sprawca zamordował siostrzenicę Edwarda Gierka, który był wtedy pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR na Śląsku. Pamiętam, że wiele

osób się pasjonowało tą sprawą. Zresztą profesor T. Hanausek był dla studentów osobą niezwykle atrakcyjną, u niego w gabinecie, w szafach pancernych było sporo egzemplarzy broni. Pokazywał ją na zajęciach. Zapraszał też różnych ekspertów. A dostać się na seminarium do profesora T. Hanauska było niesłychanie trudno. Ale później aż tak mnie to nie pasjonowało, żebym chciał być kryminalistyką czy asystentem w Katedrze Kryminalistyki. Wtedy sytuacja była o tyle łatwiejsza, że był jeden Instytut Prawa Karnego, i kryminalistyka, prawo materialne, prawo procesowe i prawo wykonawcze były w jednym instytucie. Praktycznie rzecz biorąc, etat asystenta uzyskiwało się w instytucie, a nie w konkretnym zakładzie.

Andrzej Zoll: Dyrektorem Instytutu był prof. Kazimierz Buchała.

Włodzimierz Wróbel: Równocześnie był kierownikiem Zakładu Prawa Karnego, tak?

Andrzej Zoll: Tak.

Zbigniew Ćwiąkalski: Jednak w Instytucie funkcjonowały też inne zakłady. Na przykład Zakład Prawa Wykonawczego nazywał się wówczas Zakładem Prawa Penitencjarnego. Kierownikiem tego Zakładu był Pan docent M. Rudnik. Profesor K. Buchała poinformował mnie, że będzie miał etat i chętnie mnie przyjmie.

Włodzimierz Wróbel: Ale to mnie ciekawi, bo mówisz, że w domu rodzinnym to raczej byli prawnicy-praktycy. Jak rozumiem, skoro prawo interesowało Cię jako zawód praktyczny, to skąd się wziął pomysł działalności naukowej? Profesor K. Buchała Ci to zaproponował?

Zbigniew Ćwiąkalski: Miałem stypendium fundowane z Sądu Wojewódzkiego w Rzeszowie i jednocześnie stypendium naukowe za wyniki w nauce. Natomiast w międzyczasie poznałem Andrzeja Zolla. Graliśmy wtedy z wielką pasją w piłkę nożną, w czasie studiów to była jedna z podstawowych form aktywności sportowej. Treningi odbywały się zawsze w niedzielę o godzinie 10 na boisku przy ulicy Piastowskiej, a w trakcie juwenaliów odbywał się oficjalny mecz asystenci-studenci. Na ten mecz przychodziło kilkaset osób. To były tłumy. Wtedy między innymi właśnie poznałem Andrzeja Zolla, graliśmy przeciwko sobie, ale potem z reguły była wspólna impreza przy piwie. Szliśmy Pod Płachtę przy Błoniach i te imprezy trwały dość długo.

Włodzimierz Wróbel: To był czas zapoznawania się z realiami życia akademickiego starszych kolegów...

Zbigniew Ćwiąkalski: Zdecydowanie tak. Istniały też prawdziwe kluby studenckie. Te kluby studenckie były bardzo popularne. W samym Żaczku były 3 kluby: Rotunda, Stary Żaczek, Nowy Żaczek, a Jaszczury na Rynku były wręcz legendarne. To nie tak jak dzisiaj, że to praktycznie nie jest już klub studencki. Wtedy był czysto studencki, tam było mnóstwo ciekawych imprez. Przykład starszego kolegi, doktora Andrzeja Zolla, piłka nożna, piwo po meczu spowodowało, że pomyślałem sobie, jak fajnie mają naukowcy i że trzeba zostać naukowcem. Oczywiście żartuję...

Andrzej Zoll: Myślę, że dobrze by było, gdyby opowiedział profesor o tych pierwszych latach, gdy niekoniecznie to było tylko piwo, ale raczej była praca, a ze względu na to, że siedzieliśmy razem w pokoju, domagałem się, żeby było cicho, żeby można było pracować.

Zbigniew Ćwiąkalski: Powiedzmy, że tak było. Ale właśnie, jeżeli chodzi o pracę naukową, to nie ma porównania z dzisiejszą. Trudno sobie wyobrazić, że nie było kserografów. Nie było drukarek, nie było komputerów, była praca czysto ręczna, fiszki, tak zwana biblioteka, gdzie trzeba było siedzieć i pracować. Fiszki to były takie karteczki, prostokątne, tekturki.

Andrzej Zoll: Na których notowało się to, co się przeczytało...

Zbigniew Ćwiąkalski: I to, co się chciało wykorzystać później w artykułach naukowych, glosach, recenzjach i tak dalej. W związku z tym trzeba było godzinami przesiadywać w bibliotece. Andrzej mówił o tym, że mieliśmy księgozbiór w pokoju, ale trzeba było chodzić też do Biblioteki Jagiellońskiej, bo ona miała więcej książek. I pracowicie to wszystko trzeba było przepisywać. Trwało to godzinami. Pisało się na maszynie do pisania.

Włodzimierz Wróbel: Każdy miał swoją maszynę w pokoju?

Andrzej Zoll: Ale własną! Własną maszyną do pisania.

Włodzimierz Wróbel: To uniwersytet nie zapewniał?

Zbigniew Ćwiąkalski: Uniwersytet nie zapewniał maszyn do pisania. Jeszcze trzeba było mieć ze sobą nożyczki i klej, dlatego że jak się coś chciało wprowadzić do tekstu, przygotowując jakiegokolwiek opracowanie naukowe, to się przecinało nożyczkami kartkę, pisało na osobnej kartce i wklejało ją w stosownym miejscu. Potem te kartki były składane i się tworzyła taka harmonijka, którą się dawało do korekty. Nasz kolega, późniejszy profesor, prezes Izby Karnej Sądu Najwyższego, Zbyszek

Doda miał taką zasadę, że jak zrobił trzy błędy maszynowe na stronie, to przepisywał całą stronę. No i to siedzenie w jednym pokoju przez większość dnia powodowało, że relacje były bliskie. Oczywiście wychodziło się gdzieś w okolice rynku, ale jeżeli ktoś myśli, że można było pójść na piwo i dostać piwo, to też jest w błędzie, bo piwo było rarytatem. Czasem trzeba było wiedzieć, gdzie, do jakiego lokalu i kiedy pójść, żeby udało się kupić piwo. Wprawdzie były w Krakowie w szczególności takie piwa jak Barbakan i Podwawelskie, ale okazywało się mniej więcej co dwa dni, że w znanej wówczas i popularnej popołudniówce „Echo Krakowa” pojawiały się doniesienia wraz ze zdjęciami, że znaleziono ćmę albo muchę w butelce. To nieco zniechęcało do korzystania z miejscowych wyrobów piwowskich. Otwory butelek były na tyle duże, że mysz spokojnie tam weszła do środka. Natomiast piwo było paskudne, kwaśne, nie pieniało się w zasadzie. No ale nic innego nie było.

Andrzej Zoll: Mówisz, że się chodziło na piwo, ale była taka kawiarnia na rogu ul. Wiślniej i Gołębiej. Taki barek właściwie kawowy. Widzieliśmy bardzo często, że tam jest Zbyszek Doda. Często tam był Andrzej Gaberle. Spotykaliśmy się w tej kawiarni i rozmawialiśmy o pracy naukowej.

Zbigniew Ćwiąkalski: Czasami to były zażarte dyskusje.

Andrzej Zoll: Właściwie w Katedrze się mało rozmawiało. Wtedy to było bardzo popularne, żebyśmy się spotykali i dyskutowali na temat swojej pracy na zewnątrz.

Zbigniew Ćwiąkalski: Andrzej, były też spotkania w domach. Wpadało się do kogoś bez zapowiedzi. Ludzie nie mieli telefonów, więc nie było jak zadzwonić. Po prostu się wpadało do kogoś i bardzo często to się wiązało z ostrymi dyskusjami merytorycznymi. A ta kawiarnia, ten barek, o którym wspominasz, nazywał się Mokka (potem Mozaika). Zaraz na rogu ul. Wiślniej i Rynku Głównego. Praktycznie prawie codziennie się tam chodziło, a drugim takim miejscem był klub Convivium w Collegium Novum.

Włodzimierz Wróbel: Pracowaliście też w domu czy raczej tylko na uczelni?

Zbigniew Ćwiąkalski: Ja byłem zwolennikiem pracy wieczorem. W dzień głównie zbierało się materiały, dyskutowaliśmy, a w domu, jak już było cicho, zasiadałem tak po godz. 20 i potrafiłem do godz. 3 rano siedzieć i pisać. W domu były lepsze warunki, bo na uczelni mieliśmy

ten wspólny pokój, co niekoniecznie dawało pełną możliwość pracy naukowej.

Włodzimierz Wróbel: Były też formalne spotkania Katedry. Dyskusje, w których pojawiała się katedralna hierarchia.

Zbigniew Ćwiąkalski: Były to regularnie spotkania. Już nie pamiętam, jak to często się odbywały, chyba co tydzień? Były spotkania merytoryczne i spotkania organizacyjne.

Andrzej Zoll: Raz w tygodniu, w środy, było organizacyjne spotkanie. A w piątek, od czasów prof. W. Woltera, był taki zwyczaj, że było zebranie naukowe Katedry, w którym brali udział praktycy. Bardzo ciekawe zebrania z referatami, też doktoranci mieli wystąpienia.

Włodzimierz Wróbel: Ale skoro nie było telefonów, nie było komputerów, nie było mediów społecznościowych, to jak ludzie dowiadywali się o zebraniach?

Zbigniew Ćwiąkalski: Na przykład po zajęciach, wracając z Uniwersytetu, wpadałem i mówię: słuchajcie, mam wam przekazać, że zebranie będzie wtedy i wtedy.

Włodzimierz Wróbel: A pamiętasz Zbyszku, jak zaczynały się Twoje prace badawcze? Czy to była swobodna decyzja asystenta, o czym będzie pisał i myślał? Czy jednak to pozostawało pod jakimś wpływem lub było decyzją kierownika Katedry, profesora K. Buchały?

Zbigniew Ćwiąkalski: Zaletą profesora K. Buchały było to, że nigdy nie narzucał na siłę żadnych tematów. On stwarzał absolutnie komfortową atmosferę naukową. Każdy mógł pisać, na jaki chciał temat. Oczywiście trzeba było z nim uzgodnić, przekazać mu, powiedzieć, czy to się nadaje. Można było mieć poglądy przeciwne profesorowi K. Buchale, ale on nigdy nikogo za to nie skrytykował. Chodziło tylko o to, żeby to było merytorycznie uzasadnione. Ja z Andrzejem dużo rozmawialiśmy z profesorem. Mnie zawsze interesowała nauka o karze. Zainteresowałem się nadzwyczajnym złagodzeniem kary, a jeszcze w międzyczasie napisaliśmy z profesorem T. Gizbert-Studnickim tekst o tym, co to znaczy, że „sąd może” zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary. Czy nie jest tak w pewnych sytuacjach, że sąd bez nadzwyczajnego złagodzenia kary wymierzyłby karę niewspółmierną do stopnia społecznej szkodliwości i winy, że istnieje obowiązek zastosowania nadzwyczajnego złagodzenia kary. To się odbiło dość szerokim echem, profesor W. Wolter podjął z nami polemikę. To był taki pierwszy moment, kiedy już na poważnie

nadzwyczajne złagodzenie kary mnie zainteresowało. W dodatku moja żona była socjologiem i wiedziałem, że będę miał tę podbudowę socjologiczną. Ludziom się wydawało na przykład, że przeprowadzić badania empiryczne to jak strzelić palcami. Natomiast ja, trochę z inspiracji mojej żony, postudiowałem metodologię badań naukowych, no i się dowiedziałem, że to nie jest takie proste, że trzeba najpierw próbę badawczą zrobić, że są pytania otwarte i zamknięte, że trzeba je wystandaryzować i tak dalej. Potem zaplanowałem sobie dość szeroko zakrojone badania i to był mój doktorat: *Nadzwyczajne złagodzenie kary w praktyce sądowej*. Przeprowadziłem dość duże badania, natomiast obliczenia statystyczne zrobił w Cyfronecie Paweł Gizbert-Studnicki, doktor fizyki. Za tę pracę dostałem nagrodę „Państwa i Prawa”. To była wtedy druga nagroda.

Włodzimierz Wróbel: A pamiętasz swój pierwszy tekst naukowy?

Zbigniew Ćwiąkalski: Właśnie nie pamiętam, musiałbym zaglądnąć do wykazu. Chyba zacząłem od glosy.

Andrzej Zoll: Zbyszek słusznie podkreślił swobodę doboru tematu wśród pracowników Katedry. To była tradycja od czasów W. Woltera. Nie wiem, jak było u prof. E. Krzymuskiego, ale prof. W. Wolter pozostawił nam całkowitą swobodę w wyborze tematów, którymi się zajmujemy. I oczywiście po to właśnie przychodził do Katedry codziennie, żeby można było z nim to omawiać. Był tutaj bardzo pomocny, ale nie ingerował w tematy. Tak też było w czasie, gdy ja byłem kierownikiem Katedry i to samo jest u Włodka. To jest charakterystyczne dla naszej Katedry od pokoleń. Myślę, że to jest bardzo dobra metoda.

Zbigniew Ćwiąkalski: Ale to też nie było tak, że pisało się coś i wysyłało do publikacji. Profesor K. Buchała nie domagał się na siłę, żeby mu oddawać teksty do czytania, ale normalną rzeczą było, że się przynosiło artykuł czy glosę do przeczytania i do przedyskutowania. Niekiedy ten artykuł był wysyłany z listem przewodnim profesora K. Buchały, to dawało jakąś gwarancję, że redakcja go od razu nie odrzuci, tylko wyśle do recenzji, bo oczywiście każdy artykuł był recenzowany. Ja przypominam sobie wielokrotne dyskusje na przykład we trójkę: Andrzej Zoll, profesor K. Buchała, ja; też w szerszym gronie – jeszcze Zbyszek Doda, Andrzej Gaberle. Olbrzymią wiedzę miał Zbigniew Doda, był bardzo uniwersalny, świetnie znał i logikę, i prawo procesowe. Przyjemnie się z nim dyskutowało, choć był bardzo zawzięty w dyskusjach i niełatwo się poddawał.

Włodzimierz Wróbel: Mówią niektórzy komentujący tamte czasy, o których teraz mówimy, że taka intensywna i wspólna praca naukowa była efektem tego, że było dużo więcej czasu, bo się nie pracowało na dwóch etatach czy w dwóch miejscach.

Andrzej Zoll: Był zakaz.

Zbigniew Ćwiąkalski: Absolutnie się z tym zgadzam. Nie było możliwości, żeby być jednocześnie adwokatem czy radcą prawnym, czy sędzią.

Andrzej Zoll: Nie, nie można było.

Zbigniew Ćwiąkalski: A Broniek Kieres, pamiętasz? Pracował w Katedrze, a dopiero później został sędzią. Nie można było łączyć zawodu.

Andrzej Zoll: Profesor K. Buchała miał być adwokatem, ale wprowadzono zakaz łączenia funkcji profesora uniwersytetu i adwokata. No i zrezygnował z kancelarii. Zezwolono mu jednak na działanie w ramach struktury korporacyjnej adwokatury. Był dziekanem tutaj w Krakowie, a potem prezesem NRA.

Włodzimierz Wróbel: To może byłoby warto wrócić do tych czasów?

Zbigniew Ćwiąkalski: Dzisiaj chyba to już jest nie bardzo możliwe, choć powiem tak: byliśmy z Andrzejem Zollem na stypendium w Niemczech. Tam profesorowie prawa karnego mogli w zakresie prawa karnego występować tylko jako biegli, przygotowywać opinie i ekspertyzy, natomiast nie mogli być adwokatami. Natomiast u nas niestety na uczelniach słabo płacą. To nie tylko dzisiaj, ale i wtedy też, a może nawet jeszcze bardziej wtedy niż dzisiaj wynagrodzenia, w szczególności asystentów, były nędzne. Ja w okresie wakacji zbierałem i sprzedawałem porzeczki w domu mojej teściowej, żeby sobie dorobić do pensji. Innych możliwości nie było. Dzisiaj jest szereg różnych możliwości, ze stratą dla pracy naukowej.

Włodzimierz Wróbel: Czy można powiedzieć, że wtedy środowisko naukowe było bardziej zintegrowane też pomiędzy ośrodkami naukowymi? Chciałbym spróbować to jakoś porównać z obecnym czasem.

Zbigniew Ćwiąkalski: Zdecydowanie tak. W stosunku do obecnej sytuacji te kontakty były znacznie bliższe. Po pierwsze, było znacznie więcej konferencji naukowych. Jeździło się do poszczególnych ośrodków, które organizowały konferencje. Po drugie, było znacznie mniej pracowników naukowych, co powodowało, że wszyscy się znali. Ale jednak bardziej była zachowana hierarchia. Profesor był kimś, był autorytetem, a jak asystent rozmawiał z profesorem z innego ośrodka, no to czuł dystans i pewne skrępowanie. Było też mniej czasopism, a opracowania